

KRONIKA LITERACKA.

Athenaeum. Pismo zbiorowe poświęcone filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. Rok 1850. Wilno. Drukiem J. Zawadzkiego.

Nie kładliśmy za cel naszego literackiego zawodu pisania krytyk i przeglądów z bieżącej literatury; ale są chwile, kiedy obowiązek sumienia podaje pióro do ręki, a wtedy niewolno składać się nieudolnością i czekać aż kto inny wystąpi z tém, co widzimy być koniecznem w sprawie umysłowego ruchu. Oto przed nami sześć tomów *Athenaeum*, pisma zbiorowego, a pomimo swój okrzyczanej bezbarwności, od lat dwunastu jest organem i wyrazem literatury naszych prowincyj. Przez lat 12 niezmordowany redaktor bojował z tysiącem przeszkód umysłowych i materyalnych, z obojętnością znarowioną, kapryśną i za nowościami jeno pędzącej publiczności, ogłosił tysiące artykułów, a w tej liczbie kilkanaście niezmiernie ważnych, i w nagrodę szlachetnej pracy dożył ze swém pismem do tego, że publiczność o niem zapomniła, iż nawet nie wie, czy *Athenaeum* dotąd wychodzi. Słyszymy za całą odpowiedź, że *Athenaeum* znudniało, oschło, straciło interes. Jużci w życiu pisma, jak i w życiu człowieka są chwile znużenia i wyczerpania; na siedmdziesięciu dwóch tomach *Athenaeum* możnaby kilka tym zarzutem obarczyć: zeszyty mniej zajmujące może są obrazem mniej zajmujących chwil literatury, kiedy stagnacya powszechna, Bóg wie zkąd, Bóg wie dlaczego, ogarnia piszących, czytających, księgarzy; ale ogół pisma aż do dziś dnia nie stracił tego stanowiska, na jakiem *Athenaeum* od początku stanęło. Nie mając wyraźnego *wyznania wiary*, a przecież sumiennie i pracowicie redagowane, *Athenaeum* nie uwodząc się nigdy duchem stronnictwa, witało równie chętnie objawy talentu każdej szkoły, każdej koteryi: i oto wygrana korzyść nad innemi pismami! Bo czyż nie widzieliśmy, jak nieraz zbyt gorąca namiętność, uprzedzenie, słowem tak zwane *zadanie redakcyi*, przynosiło szkodę, owszem zabijało pismo, któremu zostawało wiele — wiele do spełnienia posłannictwa. Wpóśród obecnego zubożenia publicznosci nie ustaje na swój drodze, daje przykład niesłychanego u nas wytrwania. Aby okazać, że to, co mówimy jest prawdą, przebieżmy sze-

reg artykułów w sześciotomowym zbiorze za rok 1850, z którego czytająca publiczność jasno obaczy, iż dzięki energii redaktora i dziś jeszcze Athenaeum żyje, i dziś jeszcze może chodzić o lepszą z wielu naszych, owszem zagranicznych dzienników i przeglądów, lubo samo nie jest ani dziennikiem, ani przeglądem, jeno przypadkowym zbiorowym pismem; lubo wszyscy niemal współpracownicy jak płochy motyle ulecieli na inne kwiaty, na karty dzienników świeżych, a więc poczytniejszych.

Przepatrzmy wedle oddziałów ważniejsze artykuły pomieszczone w Athenaeum za rok 1850.

W materiałach historycznych i w ogólności w rzeczach dotyczących się krajowej przeszłości pierwsze trzyma miejsce tak co do czasu, jako i co do ważności, krytyczny artykuł p. O. o piśmie Karola Szajnochy: *Bolesław Chrobry*. Sprawozdawca z téj ważnéj książki idąc w ślad za autorem, przebiega mgliste a pełne znaczenia czasy Piastów, światło a krytycznie idzie za nim w ustępy kreślące początki narodu, stosunki Polski do Europy, i cały wielki zawód Chrobrego swojemi słowy uroczopowiada. Mniej powszechnego znaczenia mający, ale ważny jako stary zabytek jest *Przywilej fundacyjny kościoła katolickiego w Obolcu*, przez Władysława Jagiełłę r. 1383, który p. Józef Zajackowski redakcyi udzielił z archiwum archikatedry mohilewskiej. *Kościół w Obolcach ma się uważać za pierwszy co do swego założenia nad wszystkie kościoły w ziemi litewskiej zbudowane* (słowa przywileju). Dalej idą ciekawe *Wyjątki z akt miasta Słucka*, z opłakanéj epoki Jana Kazimierza, dowodzące, że lubo ówczesny dziedzic Słucka Bogusław Radziwiłł w smutném zaślepieniu łączył się ze Szwedami, wszelakoż obywatele Słucka pełni wierności dla krajowego rządu, brali przed się dzielne środki stawienia oporu, i z bohaterką prostotą wytrzymali obleżenie. Redaktor dał ciekawą *Notatkę o uczonych i pisarzach zakonu Kaznodziejskiego* z księgi rękopiśmiennéj, która mu wpadła w ręce. Rękopism ten głównie obejmuje uczonych Dominikanów prowincyi ruskiej; załujemy tylko, że o ludziach głośniejszawy, jako o Bzowskim, Bardzińskim, Birkowskim, Szymaku, Siejkowskim, Lubomlezyku, Okolskim, oraz o klasztorach nie wypisał obszerniejszych wiadomości. Tenże redaktor pracujący od lat wielu nad dziejami sztuki w Polsce uczynił przegląd krytyczny ostatniego w tym rodzaju dzieła p. Maksymiliana Sobieszczańskiego, a ze swéj ważnéj *Ikonotheki* dał zajmujący artykuł o sztycharzu polskim *Jeremiaszu Falku*, któremu Forszterowskie, gdańskie i amsterdamskie edycye dzieł dotyczących się Polski, winny swoje ozdoby. Wspomnijmy nakoniec *Notatki lekarza w czasie morowego powietrza 1623 r. we Lwowie*, jako zawierające kilka rysów obyczajów domowych staropolskich.

W literaturze nadobnej. Redaktor nie ograniczając się pięknemi pracami tych z literatów krajowych, którzy mu jeszcze jako tako dotrzymali placu, chciał dać polskiej publiczności wiadomość o ważniejszych utworach zagranicznych, i w tym celu przełożył *Nowe pamiętniki* *Lamartina* (*Nouvelles confidences*), przebiegł z czytelnikami romans barona *Eotwos Notaryusza wiejski*, a co lepsze, zdał sprawę z ważnych europejskich artykułów, stanowiących najżywotniejszą treść francuzkich i angielskich przeglądów. Winniśmy p. Kraszewskiemu, że publiczność polską

obznajmił z ważnemi, na które Europa tak ciekawie wyczężyła oczy, *Podróżami Augusta Layrda* w celach starożytnych poszukiwań dawniej Assyrii, z *Wędrowkami po klasztorach Wschodu Roberta Curson*, który przywiózł do Londynu tyle bibliograficznych skarbów skazanych na zagubę w rękach ciemnych mnichów Małej Azji i Egiptu. Wiadomość historyczna o hanach krymskich, artykuły o Saharze, o telegrafii elektrycznym i t. d. z dzienników europejskich, tłumaczą, jak gorliwie redaktor pragnie zaznajomić publiczność polską z tém, co się dzieje u reszty świata.

Ale najwybitniejszą fizyonomią pism zbiorowych stanowią artykuły swojskie w lekkiej literaturze. O tych pomówimy obszerniej, gdyż pomimo szczupłej liczby współpracowników, *Athenaeum* może się pochlubić wcale ładnemi rzeczami. Pocnijmy od tych, których zbiór 1850 r. zawiera dalsze ciągi lub dokończenia. Tu na pierwszym miejscu stać powinien gawędy żołnierskie Józefa Drzewieckiego z czasów kampanii włoskich. Dziennik bez pretensyi, bez przesady, ręką co raczej do pałasza, niż do pióra przywykłą, kreslony, odstawiający w poufaleń malowidło wielkie oblicze Napoleona, relacya bojów, nędzy, pojedynków, hulanki żołnierskich; takie rzeczy wolne są od obowiązku wygadzonego stylu i zalet czysto literackich. Ale p. Drzewiecki człek z wykształceniem, bywalec światły, miłym jest gawędziarzem; ręka jego nie tak bardzo zgrubiła dzierząc się rękojęści pałasza, aby nie umiał delikatnie władać pędzlem i zdać porządną sprawę ze swych czynów i wrażeń. Podobny nazwiskiem, ale różny epoką i manierą pisarską współczesny wędrowiec po Wschodzie p. Karol Drzewiecki (wyznajmy) mniej nas zadowalnia. *Podróż* humorystyczna na zelwiański jarmark lub na kijowski kontrakty zajęłaby czytelnika lekkim a dowcipnym tonem; ale podróżować po Wschodzie, przebiec morze Śródziemne, żeglować po Nilu i drapać się na wierzchołki egipskich piramid jedynie dla złapania konceptu, jestto ofiara dla humoryzmu niestęchana, i niestety niewdzięczna. Z tych listów *Podróż na Wschód* pokochaliśmy p. Drzewieckiego za jego nieoceniony, pocziwy, dobry humor; ale nie mamy siły wędrować po raz drugi po kartach jego dziennika: tak pierwsze przeczytanie ekliwio nam się wraziło w pamięć.

Tłumacz Moliera, p. Franciszek Kowalski, dał czwartą część swojego poematu *Tymon*, którego początek przypominamy sobie gdzieś w mgłę przedhistorycznej pierwszej połowy XIXgo wieku, (bo przecie żyjemy w drugiej połowie). Bohater poematu *Tymon* jest już we dwudziestej wiosnie swojego życia; dusza jego ulata już w krainę fantazyi, szuka chwały, i z młodzieńczą wiarą nie wąpi, że gmach jej znajdzie, że w orlim locie swych skrzydeł nie złamie. Przygląda się niebiosom, wybiera swe cele: owo Alfred, Gustaw Adolf, Kazimierz Wielki, Batory; ... owo Homer, Szyller, Göthe, Szekspir, Krasicki, Malczewski; ... owo nasz wielki Kopernik; ... ku któremuż z tych słońc młody orle chcesz ulecieć? po którego prawicy z tych wielkich ludzi marzysz zasiąść w blasku twojego majestatu? Szerokie pole marzeń, ale młodzieńcze, oto świat rzeczy-wisty, oto idą boleści co twe serce zakrwawiają, odczarują, oziębiają. Śmierć ojca Tymona już rozpoczyna szereg udręczeń, co mają się nad

nim pastwić w drodze dalszego żywota. Kiedyż nam p. Kowalski dośpiewa dalsze dzieje tego interesującego młodzieńca?

Z marzeń Tymona idziemy w *Marzenia* nowe (bo niestety! tak ciernisto na tym świecie, że jeno marzyć musimy). Oto p. Józefa Smigielska na piórach swych poetycznych skrzydeł ulatuje z kart Athenaeum ponad brzegami Syrii i Fenicii, mknie nad Archipelagiem greckim, nad Spartą, Atenami, Rzymem, Afryką, i marzy nad ruinami starego świata, starych idei. Tęczowe jój marzenia to zaglądają we wnętrza naszego powszedniego bytu, to lecą w krainę przyszłości odgadywać niepojętą zagadkę postępu. Miło z nią westchnąć, zaśmiać się, zapłakać; ale jak trudno podzielić to smętne zrozpaczenie nad losem ludzkości, tak niełatwo bezwarunkowo uwierzyć tym złotym marom postępu, które p. Józefa Smigielska nas tak uroczo otacza.

Mniej marzeń, ale więcej ruchu, więcej barw i więcej, rzec można, rzewności jest w obrazku p. K. W. Wojcickiego pod tytułem: *Bielany pod Warszawą*. Jak nie pokochać tego weterana naszej literatury, który przez połowę życia szperając po prochach przeszłości, nie wyziebił swęj duszy; owszem, lekko, poetycznie i młodzieńczo przypomina swe przeddwudziestoletnie chwile, kiedy go zajmowały odpust wiejski, przegrody romantyczne, dęszc co rozpędził festujący na Białanach świat warszawski. Podobnyż obrazek w Album Literackim pod tytułem: *Czerńniaków*, nie wątpimy iż żywo pozostał w pamięci czytelnika.

Ale niech nie obraża weteranów naszej literatury, gdy powiemy, że ozdobą Athenaeum za r. 1850 w oddziale beletrystycznym jest powieść p. Adama Pługa pod tytułem: *Dzieciobójca*. Możemy się zgodzić z redaktorem, że autor wybiera zbyt czarne sceny z życia naszego ludu i naszych obywateli, lecz w powieści jego tyle jest prawdy artystycznej i społecznej, iż nie wątpimy, że oczarowany czytelnik-szlachcic otworzy swą duszę świętym przekonaniom, i nad dół powierzonego sobie ludu szczerzej pomyśli. Takie powieści są prawdziwie krokiem do postępu, a p. Pług jeżeli nie imię postępu (takiego jak go pojmują wyobrażenia pewnej szkoły), ale sam postep żywo weźmie do serca, może się spodziewać powodzeń literackich uwieńczonych społeczną korzyścią. W przeszłych ciągach Athenaeum czytaliśmy tego autora artykuł pod tytułem: *Spowiedź*; znamy w rękopiśmie inną jego pracę *Pan Marcin*; obecna powieść *Dzieciobójca* jest koroną tych utworów. P. Pług manierą, zapalem i artystycznym żądłem przypomina powieści Kraszewskiego; on go nam kiedyś zastąpi. Jedna tylko braterska uwaga: niech raczej z natury i z życia, niż z pisanych wzorów bierze swę studia, niech rozwinie siebie, niech się nauczy być sobą.

Szkoda, że nie wiemy imienia autora *Gawędki legionisty Fra Dżawolo*; jestto obrazek tak żwawo, tak mile, tak dobitnie nakreślony, iż trudno nie pożądać, abyśmy częściej spotykać się mogli z utworami tegoż pióra.

Techniczny a lekki i pouczający artykuł p. F. Bohdanowicza p. t. *Myśli o muzyce. Fortepian*, kończy szereg oddziału lekkiej literatury w Athenaeum.

Oddział *Rozmaitości* chlubnym być powinien artykułami p. W. W., który przed kilką laty tak się świetnie, tak po mężku zaprezentował publiczności swojemi rozbioremi pism hr. Rzewuskiego. Zasluga jest Athenaeum i jego redaktora, wywołanie do pracy piśmiennej człowieka tak myślącego, tak zdolnego w sposób grzeczny i pojednawczy rozbiierać najdrażliwsze zadania czasowe, tak oznajmionego z dziejami polskiej przeszłości, tak umiejącego spojrzeć na nią z właściwego stanowiska. W obecnym ciągu jest znakomity p. W. W. artykuł: *Pamiętniki w porównaniu z historią*, w którym rozbięra Paska, Chrapowickiego, i epoki historii krajowej, z których są wspomniane zabytki. Inny artykuł tegoż autora p. t.: „Czego życzymy sobie i czytelnikom naszym na Nowy Rok” wywołał żwawe wrzaski ludzi tak zwanych postępowych, ale i mniej postępowym boleśno jakoś robi się na sercu po przeczytaniu tego, co mówi autor o nowych teoriach towarzyskich: bo na cóż z serc ludzkich wydzierać świętą wiarę w lepsze jutro, na co tak boleśnie szydzić z chęci dobrych, z marzeń zbawczych, chociaż może zanadto niepraktycznych. Redaktor zaprotestował przeciw głównym myślom autora, ale rozebrać ich ściślej nie miał czasu — i słusznie. Podobne zadania czas jeno rozjaśni.

Korrespondencye, okruszyny, nekrologi, archeologiczne poszukiwania i t. p. stanowiące feileton Athenaeum, dowodzą gorliwych chęci redaktora, aby pismo jego wiernie odbijało to wszystko, co w kraju lub za granicą godnego jest uwagi w bieżącej chwili. Nikomu nie przymawiamy, ale niejedną z liczniejszych współpracownikami redakcyi, potężniejszą środkami, daje się wyprzedzić redakcyi Athenaeum w skwapliwości przysługiwania się czytelnikom.

Czytelnikom? co za gorzkie szyderstwo, co za nadużycie przyjętego wyrazu! Athenaeum nie ma czytelników! Publiczność nasza znużona od lat 12 widokiem tychże okładek, téjże tytułowej karty, najobojętniej opuszcza pismo, godne zaiste aby się zrosnąć i znałogować z nami. Cóż począć z kapryśnemi zachczeniami nowości? Ale czy godzi się być kapryśnym jak niewiasta, jak dziecko, tam, gdzie idzie o życie lub śmierć jednego z ważnych objawów literatury krajowej? czy godzi się rozmyślnie zabijać to, co dzięki niez mordowanym pracom jednego, żyje jeszcze? czy wolno nam po tém wszystkiém przywłaszczać sobie imię miłośników krajowego piśmiennictwa?

Athenaeum pomimo tysiącznych przeszkód, w bieżącym roku jeszcze wychodzi. Czy i w następnym wychodzić będzie? — któżby wątpił: wszak mamy u siebie światłą, gorliwą, słowem czytającą publiczność. Redaktorowi nie schodzi na dobrych chęciach: czyż stać się może, aby mu zabrakło naszego współczucia?

Władysław Syrokomla.

Górale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D. Kraków, nakładem i drukiem Józefa Czecha. 1851. 12ka. Str. 151.

Po zbiorze pieśni ludu Podhalań p. L. Zejsznera, i rozprawie przedwstępnej, która nas dokładnie obznajomiła z tak mało znanym plemieniem naszym, w siedm lat otrzymujem drugie dzieło w tym samym przedmiocie. Pan L. D. nie zbierał wprawdzie pieśni ludowych górali, ale uważnie badał zwyczaje i obyczaje okolic Żywca. Ciekawe to zarysy są niejako jakby dalszym ciągiem badania Zejsznera, i w wielu względach nieznane lub przemilczane szczegóły, uzupełniają zajmujący obraz polskich górali.

Dziełko pana L. D. przyznajem że bogate jest w szczegóły, ale nie ma tego ścisłego ciągu, jakim się rozprawa p. Zejsznera zaleca. Znać jeszcze pióro młode i mało wprawne, lubiące nieraz na polu szumnej deklamacji pobujać, z uszczerbkiem wykładu przedmiotu, z samego siebie już zajmującego.

Pomimo to, znać zarazem i myśl zacną i szlachetne pobudki, które go skłoniły do tak pięknej pracy.

Autor opowiada nam, jak z młodu pokochał góry, jak wyobrażenie jego zapalił więcej pustelnik z podgórskiej okolicy, urodzony w górach. Opowieści jego pełne fantazyi; szczegóły o halach, szałasach, bacach, dodały bodźca wrodzonej już ciekawości. „Wkrótce (mówi) stało się więcej nad moje życzenia, przez zdarzone kupno włości w górach żywieckich, przy granicach węgierskiej położonej, którą zapłaciłem bez widzenia; a party splemion Anglika, puściłem się natychmiast w drogę, aby czemprędzej poznać *terram incognitam*.”

Pomijamy mnóstwo szczegółów ubocznych, któremi swoje pismo autor urozmaicił i ożywił, a przystępujemy głównie do dania w treści charakterystyki górali Bieskidowych.

Jeżeli ludy w górach zamieszkałe najpiękniejszymi są w kraju *Gali-cyą* zwanym, to nad temi ludami górale z okolicy Żywca celują w urodzie i pięknej postaci. Młodzieniec w 18 roku może służyć za model na posąg Apollina, w 30 na Herkulesa, a ciężar lat 80 jego prostej i śmiałej budowy ciała nie pochyli. Ta okolica najpiękniejszych dostarcza żołnierzy. Rysy ich twarzy nie mają żadnej pewnej cechy rasowej, jaka się u narodów odosobnionych zawsze widzieć daje; przewagę jednak biorą nad innemi rysy greckie.

Górali odznaczają się nie tylko pięknoscią twarzy, ale głównie krojem kibici; a tak drobnych rąk, małych stóp, i śmiałej a zręcznej postawy, trudno znaleźć gdzieindziej w pracowitej klasie kobiet. Dziewczęta do-roste, same bez matek chodzą do kościoła i do gospody na taniec. Mężatki są mniej samowolne, i więcej napozór skromne.

Górale (mówi autor) więcej są fałszywi niż zuchwali, więcej uporni niż złośliwi: lubią się pieniać, odgrażać sobie, lżyć się słowami jak żydzi, ale do bitwy rzadko kiedy, nawet po karczmach, przychodzi. Urazy

prędko zapominają, a często dwaj szermierze z podbitej oczyma, w najlepszej zgodzie z karczmą wracają. Widząc raz jednego z ogromnym guzem na czole, pytałem, kto go tak dzielnie uczył? „Ej, to mój psyjaciel, dobrodzieju!”

Dla dziedziców swoich mają wielkie uszanowanie i ufność w ich sądach; dlatego w 1846 roku cała okolica była w spokoju. Dzieci swoje serdecznie kochają, pułków (kmotrów) więcej szanują, niż własnych rodziców. Wesela odbywają z mniejszym zachodem i uroczystością, jak włościanie w innych okolicach.

Zaproszeni na wesele goście przynoszą różne jadalne: wódka jest tylko obowiązkową na kieszeń gospodarza. Orkiestra nieliczna bywa, ale głośna; jeden kobziarz i jeden skrzypek potrafią zagłuszyć całą gawiedź pijanych biesiadników. Panna-młoda ani druchny nie mają wienców z rozmarynu, ani z ruty; głowy ich upstrzone są mnóstwem różnokolorowych wstążek, z tyłu długo rozpuszczonych, które powiewają. Czasem jednak panna-młoda miewa błyszczący krakowski wieniec na głowie: jest to dar oblubieńcy, jeżeli ten żeglował kiedy z drzewem do Krakowa. Przy czepinach nie strzygą włosów *młodusze*, tylko kładą je na głowę obrączką, i tę wokół włosami obwijając, przytwierdzają. Na to kładzie się czepiec u dołu sznurkiem zmykany, i przywieszuje, a na zakończenie opasuje się wstęgą lub galonkiem szerokim; co ma mieć biretu albo furazetki. Nie tańczą tu krakowiaków, ani mazurów, tylko stawiają tancerze i ich tańczące naprzeciwko siebie rzędem, potem chwytają się pary, i kręcą do zawrotu głowy; potem puszcza się, i robią naprzeciw siebie przysiadki i skoki z kozacka po węgiersku. Podczas gdy jedni tańczą, drudzy śpiewają, ale każdy na swój ton, ile mu głosu starczy, zastosowany do głosu krzykliwej kobzy.

Jak są nabożni, tak przesądni zarazem: tak zarówno odważni i tchórzliwi.

„Gdy zwierzeźnik krzyknie surowo (pisze autor), pozorny Herkules tak się przeleknie, że często bywa, iż zachoruje. W takim razie proszą o szczyptę włosów z głowy straszyciela, dla nakadzenia chorego, poczem gdy kichnie, to i kryzys się kończy. Zdarzyło się (mówi autor), że spotkałem kobietę biegnącą i zapłakaną, i pytałem gdzie biegnie i co się stało? „Oto idę do dworu po kudły z tego smoka, co tak mojego chłopca psiestraszył, że się na umor rozniemógł.” Znając góralską terminologią, wiedziałem, że taką nazwę dają w gniewie człowiekowi, i sądziłem, że który z moich służących to zrobił. Pytam więc: a któryż to taki, czy Kazimierz, czy Józef? „Nie dobrodzieju, jacy pies.” Ow zaś przestraszony był żołnierzem dymisyonowanym, który mi dopiero dniem wprzód cuda waleczności swojej opowiadał.”

Mimo to, wielką przecież okazują odwagę: czyto w łowach na niedźwiedzie, czyto głównie, co z każdą powtarza się wiosną, przy spławie drzewa. Tę odwagę i zimną krew, przy zręczności, odznaczają górali świetnie. Niewiele lubią pracować około własnej roli, lubo się dobijają chętnie o nabyć grunt. W uprawie, w sprzącie zboża, w sadzeniu ziemniaków mają swoje szczególne sposoby, jako też w łowieniu

pstrągów i podrybków (małych łososi); w czém, jako téż do opisu strony przemysłowej Żywczanów, odsyłamy czytelnika do samego dzieła. Z ko-są latem nie do Polski, ale do Węgier na zarobek chodzą, w zimowych wieczorach opowiadają swoje w téj ziemi przygody, i cuda owéj krajiny. Przywiedziem tu o djable jedną powiastkę we właściwém narzecz górali żywieckich:

„Widziołem go raz na swoje ocy, jak tańcowoł po dachu w rogatym kapelusie i kuséj psyodziewie: a jakie ślipie, a jakie pazury! Stano-łem i dziwom się zdjonem kapelus, i rzekę tak po naseńsku: Panie debłe, pytom wos, jakoście jagudka, dejeie mi tes kielu zułtych piniędzy. A on mi prawi po mimiecku: Swainder, mainder, dej mi dusę. I ja to do ra-zu zrozumioł, i tak sę myślę: Pockaj psio wiaro! I ucionem bzu, dosto-łem z niego dusę, psiwiązołem do kamienia, i frygnałem mu na dach. Debeł złapoł, obejzroł, dobył mieska, włożył w niego kamin i prawi: Hunder, dunder, jaka dusa takie piniądze,—i rznena mie nim ta mercha w łeb.”

W budowie mieszkań uderzył autora zwyczaj taki, że wszystkie okna ku wschodowi, a rzadko ku drodze zwrócone; lubo mu góral tłumaczył powód: „Oto, zeby nam w nocy jaki pijany debeł, idąc drogą, syb nie wybijał.”

Ciekawe czytamy wiadomości o obszernych domostwach bezko-minowych, o chowie bydła, pasterskiem życiu; a nieznane szczegóły o *szdach rugowych*, i dawnych *patrymonialnych*, poparte miejscowemi do-kumentami, nieobojętne są dla prawodawstwa krajowego. Autor ko-rzysta z każdej sposobności, i urozmaica swoje opisy ustępami cieka-wymi, prawie w każdym rozdziale. Tak podaje nam *Dumkę góralską* w narzecz właściwém o *sierocie*, którą w polu podsłuchał; to daje pamiątkę prawdziwą, o namiętnej, szalonej miłości żydówki do młodego gó-rała; to o bandzie sławnego rozbójnika *Proczpaka*, Słowaka, co się zja-wił w tych okolicach około r. 1790, i postrachem je nappełnił. Wielbi-ciel płci pięknej, zakochał się w jednej z dwóch córek dziedziczki wio-ski, przebierał się aby ją widzieć, aż raz, kiedy właśnie wśród licznych gości bawiono się wesóło we dworze, wszedł w to grono radosne, przy-strojony z przepychem, i uzbrojony należycie. Kiedy się wszyscy prze-straszili, Proczpak najgrzeczniej prosił do tańca pannę, którą kochał. Dziewczę ochłonawszy ze strachu, podało mu dłoń białą, a bandyta z węgierska rozpoczął taniec w skokach i przysiadach. *Nakicawszy* się do woli, wypiwszy zdrowie matki i córki, na szyję taneczniczki swojej włożył ciężki złoty łańcuch, i opuścił dwór spokojnie. Zginął, jak podo-bni mu bohaterowie—na szubienicy, zdradzony przez zazdrosną kochan-kę ze wsi Kamecznicy.

W rozdziale ostatnim wymownie malując autor namiętne przy-wiązanie do rodzinnego gniazda górali, wyborny stawia obrazek powra-cającego do domu wojaka.

Mały słowniczek wyrazów i wyrażeń góralskich objaśnia ustępy, przez autora podane w narzecz tamecznym.

Z całego dziełka wybija prawdziwe uczucie autora dla tego ludu, dążność usilna w rozpoznaniu charakteru w każdym odcieniu, badanie sumienne szczegółów; a wiele ustępów oddanych z życiem, prostotą a prawdą, nadają tej pracy pana L. D. wdzięk i zajęcie ciekawe w czytaniu.

Warszawa, d. 20 października 1851.

K. Wł. W.

Odpowiedź p. T. Sierocińskiego na jego krytykę mojej Grammatyki, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej za miesiąc listopad r. b.

Po pilném odczytaniu uwag p. T. Sierocińskiego nad moją Grammatyką, winienem odpowiedzieć na zarzuty i usprawiedliwić układ przyjęty w mojem dziełku. W odpowiedzi mojej trzymać się będę tego samego porządku, w jakim następują postrzeżenia recenzenta; być może, że zdołam inaczéj zapatrujących się na rzecz, przekonać mojami dowodami, jeżeli zaś to nie nastąpi, przynajmniej dowiodę, że miałem mój własny pogląd na przedmiot, o którym mowa, i nie poszedłem lekkomyślnie za mojami poprzednikami, powtarzając za nimi błędy, jakie im zarzucają. Wreszcie mając na celu podać młodzieży książkę elementarną, z którejby najprostszą drogą otrzymała korzyści, odnoszące się do poznania swego języka, starałem się przedewszystkiém o wykład prosty i jasny, usuwając z niego to wszystko, co jój pod tym względem utrudzało pojęcie. Czas pokaże, czy książka moja rzeczywiście jest użyteczną; wszakże nie robiłem ani szumnych ogłoszeń przed jój wyjściem, ani starałem się przed jój ukazaniem, aby przez Władzę do użycia była naznaczoną; poddałem ją pod swobodną opinią publiczną, aby dowiedzieć się o jój wartości. Dlatego téż, chociaż szanuję szanownych krytyków i zdania ich bardzo ważę, jednak czekać będę na sąd publiczny, a raczej na pożytki dla uczących się, i czy im nabycie tych pożytków ułatwioném będzie.

Inna rzecz pisać książki elementarne i rozprawiać o ich wartości w uczonych krytykach, a inna, z tych książek uczyć dzieci. Często się zdarza, że książka elementarna, która się zdawała wyborną w teorii, pokaże się nieużyteczną w praktyczném nauczaniu. Można mieć naukę, a nie umieć jój udzielić drugim, a jeszcze dzieciom, bo tu trzeba wiele warunków połączyć: trzeba zniżyć się do ich pojęcia, trzeba wyszukiwać środków, aby to pojęcie ułatwić, a szczególniej trzeba być baczny w wykładzie, w którym wszystko powinno się widomie wiązać, łączyć i wspierać. Uczony pisarz dzieła elementarnego, musi często dla jasności wykładu, poświęcać wiele swoich oderwanych widoków, drobiazgowych postrzeżeń, śniałych pomysłów, aby nie zepsuł jedności dzieła i nie zaciemnił tego, co musi być jasném, jeżeli ma być zrozumiałém. Szczególniej téż w nauce takiej jak grammatyka, najłatwiej albo rozproszyć i utopić istotę rzeczy w szczegółach, albo nie zwiąawszy wszystkiego

jednością zasady, nie doprowadzić nigdy uczącego się do ogólnego widoku nauki, co przecież powinno być koniecznym celem umiejętności. Kto przyjdzie do takiego ogólnego widoku zdolności swojego języka, będzie umiał utworzyć z niego dokładne narzędzie do wyrażania swoich myśli, a znając zasadę ogólnego mechanizmu mowy, potrafi wszystkie szczególności i wątpliwości sam wyjaśnić i prawdziwą naznaczyć wszystkiemu przyczynę. Brak takiego celu i kierunku w naszych grammatykach, jest przyczyną, że nie znając ani ducha, ani zdolności naszego języka, zatrudniamy się drobiazgami i tych jeszcze objaśnić sobie nie możemy: ten nie chce *Drezna* ale *Drezda*, tamten mu zaprzecza; ten pisze *joły*, tamten je wyrzuca; ten miękcy spółgłoski, choć nikt ich miękko nie wymawia, tamten boi się zmienić głoskę w zakończeniu wyrazu, bo podług jakiejś wymarzonej formy tak być nie powinno. Ale niech nauka swojego języka będzie obrazem obecnego jego rozwoju, niech przedstawi jego dostatki i zasoby, niech ukaże zasadę i podstawę jego możliwego doskonalenia, a znikną drobiazgowy spory około kropek i kresek, około ilości form na przypadkowanie i czasowanie, około pierwszeństwa dla tego lub owego trybu i czasu; uczący się nabędą rzetelnych znajomości swojego języka i ustanie niepewność w przyjęciu tego lub owego przepisu.

Daleki jestem od mniemania, abym w książce mojej uczynił zadość wszystkim warunkom, których wymagać należy od dzisiejszych grammatyków; że jednak miałem na celu przedstawić nie *zbiór uwag*, nie *reguły mówienia i pisania po polsku*, ale zwięzły obraz zasobów i dostatków języka, objawiających się w łatwości jego form, w giętkości jego mechanizmu, o tém starać się będę przekonać szanownego recenzenta, odpowiadając przytém szczegółowo na jego zarzuty.

Na wstępie swojej recenzji, p. S. wymienia grammatyków, z których dzieł mogłem korzystać; zapewne, najgorzejby ten wyszedł, kto by chciał być oryginalnym w takiej nauce jak grammatyka; ale i ten najniepotrzebniej brałby się do pióra, kto by do niej żadnego sprostowania lub ułatwienia, lub lepszego układu nie wprowadził. Są też i pochwały, że nie zbyt kuwają w użyciu *j*, że od Żochowskiego nie przejął urojonego stopniowania w rzeczownikach *koń, konik, koniczek*, że nie pominął wielu trudności w *składni*, jak Krasinski, że nie piszę błędnie wyrazów *wzjęć, wzięty* i t. p.; jest i życzenie, aby ta najnowsza grammatyka ulepszoną została w następnej wydaniu, na które zasługuje, mianowicie Część III. W szczeróść życzenia wierzę, za pochwały dziękuje, ale wołałbym za co innego je słyszeć, a nie za takie bagatele. Tymczasem następuje szereg ważnych napozór zarzutów, które recenzent zaczyna od pierwszej stronicznej mojej książki.

Zarzuca mi recenzent, że zbyt ogólne a zatem niedokładne, zrobiłem oznaczenie *grammatyki polskiej*, że to jest *nauka języka polskiego*, bo nauka języka nie kończy się w grammatyce. Właśnie ja sądząc, że nauka języka kończy się w grammatyce, zrobiłem najobszerniejszą jej definicyę, naukę bowiem np. stylu, logikę, retorykę, wzory piśmiennictwa, wcale za naukę języka nie uważam; a toż gdybym do wyrazu *nauka* dodał np. określenie *mówienia i pisania dobrego po polsku*, tobym ścieśnił nieumieściennie znaczenie grammatyki; nie mogłem też nazwać jej *zbiorem*

uważa, prawideł, bo w zbiorze może nie być żadnego ładu i systematu, gdy tymczasem *nauka* zwłaszcza *języka*, wymaga najściślejszego związku i następstwa w całym układzie. I zaraz powiedziawszy, że *grammatyka* jest *nauką języka*, mówię do czego służy *język*, czyli *mowa*, dalej, z czego się składa *mowa*, czem są jej części, ile ich jest, jak się wyraża między niemi związek, i przychodzę do potrzeby końcówek i ich odmian.

Takięto ściśle następstwo uwag starałem się zachować w całym dziełku, i dlatego prócz ważniejszych nadpisów, nie ma w niem, ani rozdziałów, ani paragrafów, na co recenzent zwrócił uwagę, ja zaś zrobiłem to, umyślnie, aby przez działy i podziałki nie psuć związku tam, gdzie go najwidoczniejszym zrobić należy. Pytania zaś na końcu każdej Części grammatyki umieszczone, na które, aby odpowiedzieć, trzeba poznać, co się w książce mieści, zastąpić mogą tak zwane rozdziały i paragrafy.

Wyliczając części mowy, nie przytoczyłem zaraz przykładów, jak to recenzent mieć chce, bo przykłady dopiero wtenczas mogą być zrozumiałe, gdy się powie, jakie jest znaczenie *każdej* części mowy.

Zarzuca mi recenzent, żem nielogicznie podzielił grammatykę na trzy części, z których druga, jest prawie wszędzie niedokładnem rozwinięciem części pierwszej.

W Części I mojej Grammatyki wskazałem szczegółowo znaczenie części mowy, a na przykładach podałem naukę odmian, nie wdając się wcale w rozumowania nad temi odmianami, ani objaśniając ich mechanizmu. W Części II wypadło konieczne okazać, jak się robią odmiany, objaśnić wszelkie nieforemności pozorne, które pochodzą z koniecznej zamiany głosek na głoski, do czego system głoskowy Mrozińskiego wybornie mi posłużył: tu więc następują szczegółowe postrzeżenia nad każdą formą przypadkowania i czasowania, z czego jeszcze wynika potrzeba zastanowienia się nawet nad znaczeniem pojedynczych głosek i zakończeń, a wyciągnięte stąd postrzeżenia, posłużyły mi do ułożenia wzorów, podług których można formować nowe wyrazy i odmieniać ich znaczenie. Ta część grammatyki tak ważna, dotąd pomijana w tego rodzaju dziełach, może służyć za wykład dla uczniów klasy II, którzy w I nauczyli się tylko odmian na przykładach, nie wiedząc jeszcze wcale, jak wytłumaczyć osobliwości tych odmian. Sądzę więc, że plan II części mojej Grammatyki jest wynikiem konieczną z części I i że osiągnięto zadanie, aby nauczyć uczniów rozbioru *każdej* części mowy, czego dokładnie nigdy zrobić nie potrafią, dopóki im w teorii nie będzie ukazana cała anatomia wyrazów wchodzących do mowy i ich znaczenia, dopóki nie poznają środków, jak to znaczenie, uwięzione zostało w kształty głosek, w pierwiastkach wyrazowych i zakończeniach. A więc nauka *składnia* musiała stanowić część IIIcą ogólnego planu grammatyki, bo uczeń znając pojedyncze wyrazy, ich znaczenie, odmiany i części służące do wyrażania związków, teraz dopiero łatwo zrozumie użytek całego mechanizmu, gdy się złoży całość, stanowiąca narzędzie do wyrażania myśli. I gdzież jest nielogiczność w podziale mojej Grammatyki? mniemałem, że przynajmniej tego zarzutu nikt mi nie zrobi.

Powiedziałem, że związek między wyrazami *utrzymuje się za pomocą końcówek*, część też pierwsza Grammatyki jest nauką samych tylko

zakończeń, których usługa później pokaże się w *składni*. P. S. zdaje się zaprzeczać mojemu twierdzeniu, a jednak jestto prawda jedna z tych, których nie można dosyć powtarzać, jeżeli uczących się zamierzamy przywieść potem do ogólnego widoku zdolności języka. Później, gdy z kolei przyszło mówić o *przyminkach* i *spójnikach*, okazałem, że i tych cząstek mowy przeznaczeniem jest utrzymanie związku między wyrazami. Ponieważ zaś 7 przypadków nie wystarcza, potrzeba więc utworzyć nowe przypadki przez dodanie nowych końcówek. *Te nowe końcówki kładą się przed imionami, i dlatego nazywają się przyminkami*. P. Sierociński oderwał to ostatnie wyrażenie od poprzedzającego i chcąc okazać rzecz *dziwną* i *niestychaną*, powiedział, że ja przyminki nazwałem *nowymi końcówkami*. Nadmieniałem już, że w mojej książce starałem się o ścisły związek i następstwo w postrzeżeniach nad językiem. i dlatego zdanie odcięte od tych, które je poprzedzają, może się wydać dziwnem i niestychanem, ale nie będzie takim w połączeniu z niemi.

Dlatego wyrażenie: *reczownik jestto nazwisko osoby lub rzeczy* ma być u recenzenta bardzo niedokładnem oznaczeniem tej części mowy, nie pojmuję; bo na pojęcie oderwane, wyrażenie najogólniejsze jest koniecznem; wyszczególniając zaś dopiero rozmaite rzeczowniki, i znaczenie ich określiłem szczegółowo. Ten sam porządek zachowałem mówiąc i o innych częściach mowy. Ponieważ zaś imiona rodowe jedne biorą zakończenia rzeczowników, drugie przymiotników, a poznanie różnic w zakończeniach, stanowi główne zadanie Części I grammatyki, nie więc dziwnego, że *Sapieha*, *Fredro* są nazwane rzeczownikami rodowemi, a *Sobieski*, *Połocki* policzone między przymiotniki rodowe.

To com powiedział, wyliczając odmiany rzeczowników, że *każdy rzeczownik bierze rozmaite końcówki czyli odmienia się przez przypadki i liczby*, a te końcówki, że są albo męskie, albo żeńskie, albo nijakie, nierównie jest prostsze i jaśniejsze, niż długie rozdziały i paragrafy o *rodzajowaniu*, *przypadkowaniu*, *liczbowaniu*, któremi grammatycy zapychają swoje dzieła, a których to rozdziałów dzieci wcale nie rozumieją. Zresztą, tak zwane *rodzaje*, zależą na różnicy zakończeń, zależą od zwyczaju lub znaczenia wyrazu; że zaś zwyczaj dzieciom polskim jest wiadomy, idzie więc w tak zwanem *rodzajowaniu* tylko o pokazanie im różnicy w zakończeniach męskich, żeńskich i nijakich. Ztąd jeszcze powstało i to moje wyrażenie, że wyraz *bierze zakończenie*, a nie *ma*, bo wybór tu zależy od zwyczaju, i często prawidłom grammatyków jest przeciwny.

Recenzent radzi mi, aby rodzaj *nijaki* nazwać *nieoznaczonym*, ale daruję, że tej rady nigdy nie usłucham, bo już to z całego dzieła mojego mógł dostrzedz, że nienawidzę nowych wyrazów, zwłaszcza w nauce, do której jeszcze Kopezyński tak wyborną wprowadził nomenklaturę; zresztą, ciekawy jestem po co rzeczy dawno znane nazywać nowemi wyrazami? czy na tém nauka zyska? czy autorowie? Biada nauce, którą co dzień w nowe sukienki chcą stroić.

Nie zgadzam się z p. S. że dla nauczania przypadków, należy najprzód uczyć uczniów pytań, po których je rozpoznać mają; doświadczenie wieloletnie przekonało mnie, że uczeń polegając na pytaniach, i że za ich

pomocą zawsze odgadnię odpowiedź, nie uważa na końcówki, których wyuczyć się powinien, i dlatego też wszędzie końcówki pooddzielałem od pierwiastków wyrazowych, aby były widoczne i utkwily w pamięci uczących. Później dopiero, po przedstawieniu form, podałem pytania po których się przypadki rozpoznają i wskazałem zakończenie w przypadku 2 lub 1, po których można oznaczyć formę, i nie zdarzyło mi się dostrzedz, aby uczeń tym sposobem szukając formy wpadł na myśl, że to samo imię może należeć do dwóch różnych form.

Podwójne i potrójne zakończenia dla imion ludzkich w przypadku 1 l. m. odróżniłem w Części II, jak to recenzent mieć chce; w Części zaś I zaraz po formach, nadmienilem tylko, które z tych zakończeń są męskie, a które żeńskie, aby wcześniej zwrócić uwagę uczących się na tę różnicę; a więc postrzeżenie recenzenta nad tym przedmiotem może jest zbyteczne. Ale co mnie mocno dziwi, to twierdzenie p. S. że liczebniki *dwóch*, *pięciu*, *wielu*, nie są pierwszymi przypadkami; później w składni jeszcze raz o tém pomówimy, teraz tylko następujące przedstawię okoliczności. Liczebniki są imionami zbiorowemi nieokreślonymi; bo widzimy, że potrzebują określeń w przyp. 2; mówi się bowiem: *dwóch braci*, *siostr dwie*, *pięciu braci*, *pięć siostr*, *wielu uczniów*, *wiele ksiązek*, i t. p.; jeżeli więc *dwie*, *pięć*, *wiele*, są liczebnikami w przyp. 1, w jakimże przypadku są użyte liczebniki *dwóch*, *pięciu*, *wielu*? Toż widoczna jest rzecz, że *dwóch dwa* i *dwie, pięciu i pięć, stu i sto* są te same przypadki, i ta tylko między nimi różnica, że *dwóch* używa się przy imionach ludzkich męskich, *dwa* przy wszelkich innych, *dwie* przy wszelkich żeńskich; podobnie *pięciu, stu*, przy ludzkich męskich, *pięć, sto*, przy wszelkich innych.

W składni, gdy przyjdzie zgadzać słowo z przedmiotem, wyrażonym przez liczebniki, znajdzie się jeszcze nowy dowód na potwierdzenie mego postrzeżenia. Już w Muczkowskim jest coś podobnego; już on *pięciu, stu* przyjmuje za 1 przypadek, a więc i *dwóch, trzech, czterech* muszą do tej samej kategorii należeć. Pozwolę sobie teraz wytłumaczyć przyczynę twierdzeń recenzenta; oto zwiodło go podobieństwo zakończeń w przyp. 1 i 2; nie chce wierzyć, aby *dwóch, pięciu, stu*, i t. p. miały być przypadki 1, dlatego że w 2 przyp. jest także *dwóch, pięciu, stu*.

Mówiąc o stopniowaniu przymiotników, recenzent przytacza ostatnie moje twierdzenie: „Nie stopniują się nigdy przymiotniki *własne, rodowe i liczebne*”, ale gdyby je był połączył z poprzedzającym, nie byłby mi zrobił uwagi, że także i *ojcowski, ogrodowy* nie stopniują się.

Oznaczenie zaimka w znanych grammatykach, że *zastępują imię* jest zupełnie niedostateczne; musiałem więc powiedzieć, że albo je zastępuje, albo tylko określa, albo i zastępuje i określa, inaczej ani podziału zaimków, ani ich użytku nigdy uczący się nie zrozumieją. Nie więc dziwnego, że ten sam zaimek raz jest osobistym, drugi raz wskazującym, albo nieokreślonym; wynikało to z definicyi przeznaczenia zaimków.

Przyszliśmy nareszcie do uwag p. S. nad *słowem*, a w szczególności *czasowaniem*, które ja, uszczęśliwiony mojami odkryciami, za arcydzieło uważałem, a któremu recenzent żadnej zalety nie przyznaje. Smutnato rzecz widzieć swój układ, swój systemat nauki z taką ogłędnością obmy-

ślany, przez tyle lat wypróbowany, teraz uznany za błędny, wadliwy. bo zasada jego ma być wątpliwa.

Że u mnie jest zasada, na to się i pan S. zgadza; idzie tylko o to, czy prawdziwa, czy fałszywa; jeżeli prawdziwa, posłuży do wytłumaczenia wszystkich trudności w mechanizmie słowa; jeżeli fałszywa, zagmatwa i to; co dotąd było jasne. Aby ukazać naszym wszystkim grammatycznie odmieniany słowa, które jakby z jednego pnia wyrósły i do rozmaitych użytków w mowie służą, stawiam im przed oczy *pierwiastek* słowa, pozbawiony wszelkiego zakończenia; następnie oznaczywszy stałe końcówki dla trybów, osób, imiesłowów, oznaczywszy jaką głoską znaczy się połączenie przeszłości, różnica rodzajów, liczb; pokazuje, jak te wszystkie końcówki harmonijnie zlewają się z pierwiastkiem słowa i tworzą z tej części mowy, że tak się wyrażę *małą mowę, język na małą skalę*.

Słowo, to już cała mowa; to mądrość ojców zawarta w głoskach milejących i niemych; ale niech tylko padnie ożywiające światło na te tajemnicze hieroglify, a opowiedzą mądrość, której strzegły. Otóż mówiąc bez przesady, aby wyszukać tej mądrości *słowa*, utworzyłem prawdziwą anatomiją jego, owego bogactwa mowy naszej, które tak słusznie podziwiano; starałem się pokazać wartość tego bogactwa.

Widzieliśmy już, że aby utworzyć naukę *słowa*, potrzeba mieć *pierwiastek* i znać wszelkie możliwe *kończówki*, które przybierać może; jeżeli gdzie końcówka z trudnością łączyć się będzie z pierwiastkiem, użyjemy głosek eufonicznych, które ja nazwałem *pośrednimi*. Z pierwiastka nie ginie, bo tam jest: *myśl, duch słowa*; może tylko zgiąć *jotę*; najulotniejsze ze brzmień spółgłoskowych, jak się to i w imionach trafia; ale w pierwiastku może się zmienić samogłoska; bo ona nie stanowi treści myśli w języku ludów północnych, i dlatego też w naszym języku układ spółgłoskowy tak jest ważnym. Powiedziałbym, że spółgłoski sąto *częstki myśli zawartej w słowie*, tak jak wyraży się *częstkami myśli zawartej w mowie*. Z tego stanowiska spojrzymy teraz na najpiękniejszy utwór mowy, *słowo*, utwór nie wiem czy człowieka, bo jest Boski, a ujrzymy tam wiele rzeczy nowych do podziwu.

Pierwiastek, niby pierwocina słowa, jest często jednozgłoskowy, często także mający za ostatnią głoskę, najulotniejszą *jotę*, np. *myśl, czyn, tłum, stań, chwał, kraj, blaga*. Często pierwiastek słowa jest zarazem pierwiastkiem imienia, do czego albo żadnej zmiany robić nie trzeba, np. *myśl, tłum, kraj*, albo tylko dość zmienić ostatnią spółgłoskę na twardą, np. *czyn, stań*. Jeżeli do tak wynalezionych pierwiastków, przyłączymy, np. zakończenie *ć*; i użyjemy za głoski pośrednie *a, e, i, y*, będziemy mieli cztery najforemniejsze wzory na czasowanie słów, np. *kraj-a-ć, myśl-é-ć, czyn-i-ć, wierz-y-ć*. W pierwszym tylko wzorze czyli formie, pierwiastki zwłaszcza dwuzgłoskowe, zakończone na ulotną *jotę*, gubią ją, przez co odstania się samogłoska *a*, i z nią już łatwo spajają się końcówki spółgłoskowe, np. *blaga-(j) ć, blaga-m*; w 3ciój zaś osobie licz. min. ponieważ koniecznym jest samogłoskowe zakończenie *a*, więc *jota* powraca, np. *blagaj-a*.

Jeżeli mamy gdzie podwójne zakończenie dla tej samej osoby, jak np. dla 1 l. p. czasu teraźniejszego *ę* lub *m*, a więc gdy *jota* z pierwiastka

ubywa, *m* stanie obok odkrytej samogłoski; gdy *jota* nie ginie lub gdy pierwiastek kończy się na inną jaką spółgłoskę, wtedy zakończenie samogłoskowe *ę* będzie koniecznym.

Gdy ostatnia głoska w pierwiastku zawsze jest spółgłoską, a pierwsza w zakończeniu także jest spółgłoską, używa się dla ich połączenia głosek pośrednich, np. *myśl-e-my*, *czyn-i-cie*; nie dlatego, aby były konieczne, ale aby odróżnić odmiany czasu teraźniejszego od odmian trybu rozkazującego, w którym pośrednich nigdy się nie używa, np. *błagaj-my* *myśl-cie*, i w pierwiastku nawet *jota* zostaje.

Głoski *pośrednie* używane do spojenia końcówek z pierwiastkiem, są stosowne do każdej formy; głoski takowe nie są jednostajne we wszystkich odmianach i osobach tego samego słowa, a nawet tego samego czasu, bo jako samogłoski ulegają wpływowi spółgłosek i zmieniać się mogą stosownie do tego wpływu, albo uwagi na monotonią i harmonią, i dlatego np. w formie 2 w osob. 1 l. m. mówimy: *myśl-e-my*, a nie *myśl-i-my*, aby przerwać monotonią trzech sylab, jednobrzmiącą samogłoskę mających, zwłaszcza że *e* jest już pośrednią i w trybie bezokol. *myśl-é-ć* i w czasie przeszłym *a* w liczbie mnogiej także na *e* przechodzi, np. *myśl-a-łem*, *myśl-e-liśmy*. Różnica głosek pośrednich stanowi różnicę form. W 3 oso. li. poj. czasu teraz. nie ma szczególnych, odrębnych zakończeń, więc głoski pośrednie właściwe każdej formie, zastępują zakończenia.

W czasie przeszłym szczególnie skomplikowany jest mechanizm odmian słowa, a jednak pełen harmonii i prostoty. I tu pierwiastek słowa łączy się najprzód z głoską cechową *ł*, którą można by uważać niby za hieroglif przeszłości, za połączenie zaś jęj z pierwiastkiem statecznie służą w formie 1 i 2 samogł. *a*, w 3 *i*, w 4 *y*. Po głosce *ł* wyobrażającej czas kładzie się samogłoska wyobrażająca *rodzaj*, a po tej dopiero głoska wyobrażająca *osobę*. Oto cząstki sądu naszego, *oznajmującego* nauki przeszłości: *myśl-a-ł-e-m*.

Konieczną jest rzeczą aby pierwiastek w trybie rozkazującym zawarty, na czele każdej formy był postawiony, a po nim tryb bezokoliczny jako późniejsza z niego formacja, a w słowach mniej foremnych znacznie czasem od pierwiastku różna, i której osobliwości powtarzają się potem w czasie przeszłym, tak jak w teraźniejszym powtarza się sam pierwiastek, np. *bierz*, *bra-ć*, *bior-ę*, *bra-łem*. Oto w pierwiastku głoski *b-rz* przedzielone samogł., w trybie bezokol. obok siebie stoją, w czasie teraźniejszym są więc rozdzielone, a w czasie przeszłym złączone, i cała nieforemność zależy tu na zamianie głoski pierwotnej *e* na *a*, i postawieniu jęj po spółgłoskach pierwotnych *b-r*. Ale ponieważ mamy już zasadę do śledzenia zmieniającej się postaci *słowa*, dlatego też nawet niekształtności tej postaci wytłumaczyć sobie możemy.

Tryb rozkazujący uważany pod względem źródłowym okazuje się pierwotnym, ale okaże się jeszcze takim, gdy sięgniemy myślą do kolebki narodów i ujrzymy człowieka wołającego, proszącego pomocy brata. Prośba o pomoc była pierwszą potrzebą, jak pierwszym poznaniem słabość nasza, i nazwanie trybu proszącego rozkazującym, musiało już

przez grammatyków być dokonaniem, którym i dziś często się zdaje, że ich rozkazów język słuchać musi.

Umieszczenie po trybie rozkazującym bezokolicznego w *nauce słowa*, nie przeszkadza, aby w słownikach ten ostatni przytaczać najprzód, jako twierdzenie bezwzględne. Tryb *łączący, życzący, warunkowy*, zawierają się tylko w znaczeniu spójników, a w formach czasowania figurują tylko dla pokazania, gdzie się wtedy końcówki osobowe umieszczają, i podobnych trybów można by tyle natworzyć, ile jest spójników wyrażających okoliczności podrzędne, zawisłe od sądu głównego; bo jak przyimki służą niby do utworzenia nowych przypadków, tak spójniki do utworzenia trybów.

Imiesłowy są to znowu inne formacye słowa: zakończenia ich przymiotne łącząc się z pierwiastkiem, nadają słowu znaczenie przymiotu, a czas nieosobisty, najpodobniej-zy formacją do imiesłowu biernego, przy nim też w układzie czasowania stoi.

Formy czasowania służą do uporządkowania systematu odmian; można by ich i więcej jak 4 utworzyć, gdybyśmy z takich nieforemności jak np. *pracuj, pracować, jaśnień, jaśnieć, gin, ginać, piel, pleć, rwij, rwać*, chcieli układać wzory czyli formy; tu uwaga na pierwiastek i odmianę jego w trybie bezokolicznym, będzie dostateczną, aby się nie pomylić w innych odmianach.

W niektórych słowach nieforemnych pierwiastek sam się nie używa, np. *móz, muś, wol, widz*, ale dlatego nim być nie przestaje, i *dziwnym* będzie tylko dla tych, którzy mojego systematu nie przyjmują.

Po takim objaśnieniu układu mojego czasowania, na szczególna zarzuty recenzenta odpowiadać nie będę; przyjąwszy bowiem stałą zasadę, wytłumażyłem odmiany słowa; niechże grammatyce w swoich dziełach pokażą mi coś podobnego, co by za sobą miało tyle cech pewności, a wyrzeknę się mojego układu.

Nad II-gą częścią mojej grammatyki, recenzent nie robi żadnych uwag, bo zdaje mu się, że szczegółowe wywody są naciągane do mylnej zasady, źle upatrzonej pierwiastków. Logicznie sobie postąpił, bo skoro nie uznał mojej zasady odmian, nie mógł więc rozbić szczegółowych postrzeżeń nad ich mechanizmem. Ja chciałem na jaw ukazać wszystkie możliwe zdolności wyrazów, i dlatego całą część II-gą poświęciłem tego rodzaju badaniom, których wypadkiem są: prawa odmian na wyrażanie stosunków między częściami mowy i prawa na odmiany ich znaczenia.

Przystępuje nareszcie recenzent do ocenienia części III, którą uważa, zapewne tylko przez grzeczność, za najlepiej obmyśloną w porównaniu z częścią I i II. Otóż nie mogę wierzyć w pochwałę mojej *składni*, jeżeliby zarzuty, które recenzent zrobił, miały być sprawiedliwe. Zobaczmy, jakie one są.

Powiedziałem: *Mowa składa się ze zdań czyli myśli*, recenzent postrzega, że co innego jest zdanie, a co innego myśl; prawda, ale zdanie jest kształtem widomym myśli, a odróżnienie w tym względzie właściwie należy do logiki, w składni zaś, gdzie idzie tylko o najłatwiejsze dla

pojęcia dzieci definicje, postawienie tych dwóch pojęć obok siebie, bardzo do powyższego celu pomaga.

Zdanie składa się z przedmiotu i opowiednika. W opowiedniku mieści się albo przymiot i łącznik, albo słowo. Recenzent postrzega, że nazwania *przedmiot, opowiednik, przymiot* są nieszczęśliwie dobrane. Już w przypisku umieszczonym w Grammatyce na str. 90 tłumaczyłem się, dlaczego wyraz *przedmiot* uważam za najdokładniej przedstawiający to, o czém sąd wydajemy. Tymczasem u grammatyków naszych w jakiś nienawiści jest ten wyraz; powiadają, że on co innego znaczy w powszechném rozumieniu. Aby tego dowieść, recenzent przytacza przykład: *widzę las*, i powiada, że tu przedmiotem widzenia jest *las*; prawda, ale tu nie idzie o przedmiot widzenia, ale o przedmiot *sądu* wyrażonego w słowie *widzę*, a ten przedmiot zaraz uczący postrzega, gdy usłyszy część zdania, zwaną *opowiednikiem*, a uwaga jego nawykła do szukania wszędzie *przedmiotu sądu*, będzie potem bacniejszą na wszystkie nawet czyny i postęпки człowieka. To co uzupełnia pojęcia zawarte w opowiedniku, co ja nazwałem jego *dopełnieniem* czyli *rzędem*, nigdy uczący za przedmiot sądu nie weźmie, bo to wreszcie nie stanowi koniecznej części zdania; wszakże *dopełnienie* może być, może nie być, więc chyba tylko owi średniowieczni u recenzenta grammatyce, co się dosyć naczylali o łacińskich *objektach*, wezmą wyraz *las* za przedmiot sądu objawionego w słowie *widzę*. Według mojej zaś grammatyki, w słowie *widzę*, jest sąd o przedmiocie *ja*, a w wyrazie *las*, jest dopełnienie widzenia. Zresztą, o co tu idzie? o wyrazy, których znaczenie jest konwencyonalne; w użyciu ich starajmy się więc, abyśmy nietylko siebie rozumieć mogli, ale żeby nas rozumieli wszyscy.

I wyraz *przymiot* oznaczający część składową opowiednika, nie podobna się recenzentowi, a wszakże sąd nasz o *przedmiotach* składa się z przymiotów w tych rzeczach postrzeganych, wszakże rozróżniamy rzeczy tylko po ich przymiotach, które jakby z nimi zrosły i razem bytują, a te przymioty wyrażać możemy wszystkimi częściami mowy (oprócz przyimków i spójników). Otóż wszelką własność *przedmiotu* czy opowiadając ją użyjemy rzeczownika, przymiotnika, imiesłowu, trybu bezok. lub przysłówka, nazwałem *przymiotem*, któryto wyraz, zdaje mi się, najszczęśliwiej tu użyty został, bo go łatwo rozumieć, tak łatwo, jak *przedmiot*, a ja chciałem żeby mnie wszyscy rozumieli. Ale co jeszcze: aby pokazać, że *słowo* samo może zastąpić *opowiednik*, mówię, że mieści w sobie *imiesłów*, czyli, że ma w sobie gotowy *przymiot* i domyślnie wyobrażenie *bytności*; recenzent i to nazywa błędném wyrażeniem; to już nie wiem, co będzie więcej prawdziwém.

Wyraźnie także oznaczyłem na str. 90, czém się wyraża *łącznik*; recenzent zarzuca mi, że tego nie zrobił; tak ważnego opuszczenia w układzie nauki, która ma przedstawić wprawdzie nie sztukę porządnego myślenia, ale jego kształty w formach mowy, nigdybym sobie nie przebaczył.

Słuszną uwagą recenzenta, że w tém np. zdaniu: *mięj litość nad nieszczęśliwemi*, dopełnienie *litość*, zależy od słowa *mięj*, ale drugie dopełnienie *nad nieszczęśliwemi* zależy nie od słowa *mięj*, ale od rzeczono-

wnika *litosć*. A więc w mojem twierdzeniu o dopełnieniach jest tylko niedokładność, należy bowiem jeszcze dodać, że dopełnienie może nie tylko od słowa, ale i od innych części mowy zależeć, a w prawidłach rzędu potrzeba szczególne takie zdarzenia wykazać.

Otóż znowu przychodzimy do liczebników *trzech, czterech, pięciu, dziesięciu, wielu*, które ja uważam za imiona zbiorowe w przypadku 1 określające się rzeczownikami w przypadku 2 i z którymi się słowo zgadza, jak ze zbiorowymi rodz. nijakiego. P. S. chce imiona określające te liczebniki uważać za wyrazy główne, ma się rozumieć za *przedmioty* zdania, ale zaraz dodaje, że to tylko wyjątkowo; w takim razie, pytam go, z czém się zgadzać będzie słowo, gdy i liczebnik i jego określenia będą położone w przypadku 2? A więc żeby nie tworzyć wyjątkowych praw, tam gdzie jest najwidoczniejsza jedność tej samej zasady, liczebniki *dwóch, trzech, pięciu, stu*, uważam za przypadek 1szy i słowo do nich odnoszę, a nie do imion określających je, i tak robię zawsze, ile razy przedmiotem jest np. przysłówków albo tryb bezokoliczny, a wszakże i z nimi słowo tak się zgadza, jak z liczebnikami, np. *dwóch ludzi poszło, dość ludzi poszło, iść było obowiązkiem*.

Liczebniki początkowe *dwa, dwie, trzy, cztery*, ponieważ nie określają się przyp. 2gim ale 1szym, czyli mają przy sobie tak zwaną adpozycją, a więc słowo jest teraz z czém zgadzać, bo jest przypadek 1szy, np. *dwa domy zgorzały*; ale niech tylko liczebnik zbliży się do słowa, a określenie jego zamieni się na przypadek 2gi; oto co się ze słowem zrobiło? już ono nie z pojęciem *jakości*, ale z pojęciem *ilości* się zgadza, np. *domów dwa zgorzało*. A więc ogólne prawidło na zgodę słowa z liczebnikami jest: jeżeli są określone imieniem w przypadku 2gim, słowo zgadza się z niemi, jak ze zbiorowymi rodz. nijakiego; jeżeli zaś są określone imieniem w przypadku 1szym, słowo zgadza się z określeniem.

Aby nauczyć mechanizmu zdania, trzymam się zawsze jednej zasady, zawsze okazuję gdzie jest *przedmiot* dla *sądu*, i wolę go koniecznie widzieć, niżeli zamykać na niego oczy, dlatego, że niby wyraz mający go oznaczać, niebardzo ma końcówkę podobną do przypadku 1go, który sam tylko ma przywilej, że w nim się *przedmiot* przedstawia. Nigdy także za przedmiot nie wezmę określeń w przyp. 2gim, choćby w nich mieściły się i najgłówniejsze pojęcia, bo w takim razie musiałbym się udawać do wybiegu, o którym recenzent wspomina: otóż w naszym języku rząd zastępuje miejsce zgody.

Zarzuca mi recenzent, że gdy się słowo odnosi do kilku przedmiotów, radzę, aby je zgadzać z domyślném imieniem *ludzie, kobiety, istoty, zwierzęta, rzeczy*, i że w tym względzie *przejąłem niegdyś poważny, a dziś powszechnie prawie zarzucony błąd Kopczyńskiego*. A mnie się zdaje, że Kopczyński bardzo logicznie postąpił, radząc zgadzać słowo z pojęciem, które w przytomnym umyśle sądzącego ogarnia rodzaj, liczbę, gatunek sądzonych przedmiotów, aniżeli, jak to nowotni grammatycy robią, nakazując dzieciom szukać *przedniejszego imienia* albo *przedniejszego rodzaju*, dla zgodzenia z nim słowa.

Nie wiem, dlaczego recenzent uważa opisy użycia i znaczenia przypadków bądź samych, bądź z przyinkami za rzecz słownikarstwa; ja prze-

ciwnie uważam tę część składni za bardzo ważną, i wysoko cenię Jakubowicza za wzorowe jęj wypracowanie; bo czyż nie lepiej jest, aby nauczyć uczniów jak się robią dopełnienia i określenia, ukazać znaczenie przypadków samych i z przyimkami, niżeli np. wyszczególniać, czém każde słowo się dopełnia? To rzeczywiście tylko w słownikach da się zrobić; jednak i w grammatyce, chociaż w inny sposób wykonane być powinno. Prawda, że wszelkie podobne definicje przypadków i przyimków, jako pojęć ogólnych, są niezmiernie trudne i niedokładności pod tym względem recenzent w mojej książce podostrzegał; dlatego jednak, że to są rzeczy trudne, nie można ich odsyłać do słowników, gdy one wchodzą w zakres grammatyki.

Nie wiem, co może być jaśniejszego dla uczących się, nad taką definicyą *zdanja złożonego*: Gdy jedno zdanie łączy się z drugim, powstaje ztąd zdanie złożone. Zapewnie, byłoby to niedostatecznóm, gdybym zaraz idąc od praw ogólnych do szczególnych, nie powiedział, jakie zdania wchodzą w skład zdania złożonego, i nie odróżnił, co są zdania *dopełniające*, a co *określające*. Recenzent, jakby tego nie czytał, powiada, że jak wyżej niedokładnie były odróżnione *dopełnienia* od *określeń*, tak teraz zdania *dopełniające* od *określających*, i na dowód tego przytacza, że zaimek *które* na str. 103 nazwany jest *dopełnieniem*, a na str. 137 w tym samym przykładzie *określeniem*. Tu jest maleńkie przeoczenie ze strony recenzenta. Na str. 103 jest mowa, czém jest zaimek *które* dla słowa, należącego z nim do jednego zdania, jest mowa, że bywa *dopełnieniem* dla tego słowa, ale jest *określeniem* dla imienia, które zastępuje i które do poprzedniego zdania należy, i z którym się tylko w rodzaju i liczbie zgadza; na str. zaś 137 jest mowa o zdaniu *określającym*, połączoném z główném przez zaimek *które*. A więc zarzut niesprawiedliwy, bo zaimek *który* zawsze jest *określeniem* dla rzeczownika do którego się odnosi.

Recenzent chcąc pokazać sprzeczność w moich twierdzeniach, stawia je obok siebie i powiada: Autor na str. 129 mówi: *Słowo w zdaniu główném kładzie się w trybie oznajmującym lub rozkazującym*, a na str. 133: *przy zdaniu główném kładzie się spójnik warunkowy by*. Mniejsza o to, czy *by* jest spójnik warunkowy czy przyrostek, nad czém się recenzent rozwodzi, ale to niedobrze, że recenzent tylko ostatni wiersz mojego przepisu przytoczył, i zrobił sprzeczność to, co jest bardzo logiczném. Ja wyraźnie wskazałem szczególny przypadek, kiedy i dlaczego w zdaniu główném kładzie się *by*: oto, gdy zdanie dopełniające wyraża *warunek przypuszczony*. Kto spełnienie woli robi zależnóm od warunku przypuszczonego, więc i to spełnienie jest także warunkowém, niepewnóm; ale żeby nie gmatwać nauki stosunków między zdaniami, wolałem ten szczególny przypadek oznaczyć w taki sposób, że spójnik *by* kładzie się w zdaniu główném, jako niepewnóm, niżeli głosić, że tryb warunkowy może być w zdaniu główném.

W nauce o łączeniu ze sobą zdań tak pobocznych z głównymi, jak i głównych z głównymi, poszedłem za wykładem najlepszych dzieł, które traktują ten przedmiot ze stanowiska logiki, a nie za wykładem grammatyków, którzy patrząc na zewnętrzne formy myśli, używane w języku,

nie odnoszą ich wcale do koniecznych zasad myślenia, i tworzą tyle cudackich nazwisk, na oznaczenie rozmaitych gatunków zdań. I dlatego upatrzawszy stosunki, jakie zachodzą między myślami, odznaczyłem formy, jakie się na to wszystko znajdują w języku i podałem szczegółowe przepisy na łączenie zdań. P. S. za nie tę moję pracę waży i dodaje: Należy wdawać się w niedokładne wyszczególnienie, kiedy i jak łączą się z sobą zdania główne, należało raczej podać naukę o składzie okresów.—A toż że zdań składają się okresy, a nawet zdanie bez żadnych określeń wyrażone, może stanowić okres, jak to widzimy w stylu ucinowym; więc umiejąc wiązać i łączyć zdania, umiemy tworzyć okresy, i budowy okresów inaczey nie pojmujemy, nie zbadawszy wszelkich możliwych stosunków między zdaniami, i nie nauczywszy się, jak one wyrażają się w mowie. I w składni nie można się więcęć zajmować okresami tylko pod względem zdań je składających; uwagi zaś nad przymiotami okresu, jakimi są: jedność, całość, długość i t. p. należą nie do składni, ale do nauki stylu.

Tak więc prawa łączenia zdań głównych, są zarazem prawami budowy okresów, a przepisy, tyczące *przecinkowania*, i wynikające z potrzeby robienia zawieszę głosu przy czytaniu lub mówieniu, muszą się stosować ściśle do gatunku zdań i stosunków, jakie między nimi zachodzą. Ale pan S. wyobraził sobie, że nauka okresów należy do składni, i nie znalazłszy w mojej książce nigdzie tego napisu: *składnia okresów*, pospieszył się z wyrzeczeniem, że o okresach nie powiedziałem, a przecinkowanie podałem prawie bez żadnej zasady. Albo i to także szczególny zarzut recenzenta, że opuścił ważną naukę o używaniu trybów i czasów. Zaraz przekonam, jak wyżej, że nie kładąc nadpisów o użyciu trybów i czasów, powiedziałem jednak o tém wszystkiem. Tryb rozkazujący i oznajmujący służy do wyrażania zdań głównych, a więc ich użycie szczegółowych wskazań nie potrzebuje; inne zaś tryby zależą na umiejętnem użyciu spójników wyrażających stosunek słowa do słowa; że zaś o użyciu spójników powiedziałem więcęć niż ktokolwiek inny, a więc masz pan naukę o użyciu trybów.

O użytkach trybu bezokolicznego powiedziałem gdzie należało.

Dziwię się, że recenzent nie zrobił mi jeszcze zarzutu, czemu np. w mojej składni nie powiedziałem nic o *budowie wierszy*, o *miarach* i t. p., a wszak i o tém rozpisują się niektórzy grammatycy. Przyznaję, że jakkolwiek piękną jest rzeczą o wszystkiem wiedzieć i pisać, ja jednak zrobiwszy plan mojego dzieła i w wykonaniu jego trzymając się ścisłego następstwa uwag i postrzeżeń nad budową języka, o tém tylko mówić musiałem, co ściśle z mojem zadaniem i celem miało związek, i nigdy nie zrozumieć, jaki związek z grammatyką mogą mieć np. okresy pod względem przymiotów uważane, albo robota wierszy.

Za dostrzeżenie niektórych powtarzanek w mojej książce, bardzo dziękuję recenzentowi, i jeżeli przyjdzie do zrobienia nowęj edycyi, postaram się, aby ich nie było.

W tym przykładzie: *Trzeba wzory brać za cel, aby zostać wzorem*, autor dostrzega najgorszy wybór, utrzymując, że zdanie takie zastosowa-

ne do dzisiejszego pojmowania *sztuki*, będzie wstrzymywać polot i swobodę ducha. Ale trzebaż pamiętać, że książka moja jest dla dzieci, które na takie stosowania powyższego zdania, nigdyby się nie zdobyły; a i w *sztuce* nawet czy rzeczywiście bez wzorów można się obejść?

Najmocniej przepraszam szanownego p. Wągę, za błąd drukarski w zdaniu, z jego pism wyjętém.

Dłaczego w uwagach nad pisownią, które mogą być bardzo krótkie dla tego, kto zna zasady grammatyki, radzę używać *joty* między dwiema samogłoskami do dwóch sylab należącemi, usprawiedliwiłem na właściwém miejscu.

Warszawa, d. 25 listopada, 1851.

J. A. Czajkowski.

